

DŹwi

gAniE

SE*RCA*

poemat dla Łodzi

godło: Karot

Ludzie codziennie
Na siódme piętra
Dźwigają serca.

Julian Tuwim

I.

Tu ziemia nie chce nieba. Tu fala traw, powódź kwiatów,
wir spraw i zanurzenie - w zieloność sinic. Nieżółta,

niepodwodna, jej wiosło dźga czerwone tło, jej wiosło chce
snu. Pisany jej słodki los wśród much, trzydniowo zarosłych

autochtonów. Bez antenatów, za to w miłym cieniu.
Są miasta co mają spleen, są co paraliż, klincz i pęta powyżej

pięt i tylko czasem sen: *dosięgnę dna, odepchnę, ruszę bryłę.*
Białe wiersze tu piszą się czarne, powiewa powojenny kir.

Tu tyra się. Komu tu manicure? Zobacz ten marazm,
ten trucht ziemi, co ci obieca, więcej niż może dać.

II.

Tobie poemat, miasto, gdzieś na krzyżu autostrad?
Tę falistą wysoczyznę, nazwano garbem, wiedziałeś?

Po co ci słowa, muszle bez pereł? Nie lepszy ci skoczny płas,
beat pubów, częstochowski rym i kicz keyboardów?

A widziałeś obecne księgarnie? Poezja to kolor farb,
nazwa jogurtu. Upierasz się. Uwierz, dla tubylców

poszarpane z prawej oznacza dzieło haikupsychola,
grafficiarza, co miał świra, więcej farb niż rozumu.

Miasto blokowisk, bazgrołów, miasto co brzmisz jak okrzyk
uszczykniętego, uszczypnę cię, a ty się obudź, nie ludź.

III.

Wymyśliłem to tak: niech zniknie czas i szare twarze rykszarzy
wystawmy na słońce. Muzyka przy Siódemkach uniesie

kostkę. Wymyśliłem to tak: *wszystko jest jednocześnie*.
Lokomotywa stoi na stacji, która jeszcze jest w planach.

Wszystko jest po polsku, trochę w jidisz, a trochę *pa ruski*.
Twarde słowa, umlauty, na przemian z cyrylicą. Obracam słowa,

krzyczę i szukam ech. Frazy niech lewitują jak u Chagalla,
a litery w powietrzu niech świszczą pod szablą Zorro, litera

Ł – ma coś z prawosławnego krzyża, Ó – jarmułka i wystający pejs,
D – syty brzuch udacznika, jakiś Ordnung, Ż – polski znak.

IV.

Wirują menory. W Parku Śledzia gwar, ścisk, feeria barw.
Gwar, ścisk, biznesy, mamony. Gwar, ścisk, rój i stos.

Skrzypek przesuwą smyczek, piłuje przełącz, otwiera przestrzeń.
Starzec katarynką wierci przejście, draży przerębę.

I otwiera się z jękiem chłód, śmiały pochod rojeń, wyrwa
i krater. I jak ją teraz unieść? Kwartę mąki, łyżkę cukru, kromkę.

Czym zatkać przeciek, potok? Niemy rwetes, wir powietrza,
przepaść, oko? Pękają liche stemple, słabną ramiona Atlasa.

Niebo wciska duszny haust, chlapie breją z chmur. A z ziemi
ledwe liche łyko. W michę potrawa z lebiody, pleśń na chlebie.

V

To jest to! Genialny geszeft. Walizka pełna szmalcu.
Wszystko pewne jak wiosenna trawa. Obłowiony pójdzie w tan.

Das wird höchste Eisenbahn obracać w palcach złoty pieniądz.
W powietrzu zapach prochu, w powietrzu obietnice, tchnienie.

Fuks, łut, zysk, cztery asy z ręki. Napór tlenu, presja tlenu, parcie tlenu,
horyzont kręcony na twoich biodrach. Prąd, pęd. Wszystko sprzyja, brać!

To miał być genialny geszeft. Walizka pełna szmalcu.
I tak szybko dostał tlen, zmienił się w lunę. I całun spowił niebo.

Es geht um die Wurst. I teraz przewóz, przewał, przepech,
przestrzelona skroń. Grudy, gruzy, grad wielkości jaj.